

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, toa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

52

Natomiast Joe Smith odzyskał dobry humor. Rozbawiła go propozycja prezesa i jego przykry zawód. Dokończył butelki Lacrima-Christi i zaczął mówić:

— Zajęcie moje nie jest synekurą... Nie polega ono na prezydowaniu na bankietach i na odświeżaniu pomników... Lewis Jackson prowadzi zawsze naraz całą masę interesów, z których każdy może pochłonąć w zupełności zwykłego businessmana, a ja je znam wszystkie na pamięć... Wiem i przykład, ile jest dynamo maszyn w fabryce elektrycznej przy Niagara, ile jest robotników w fabryce konserw w Chicago, ile jest morgów plantacji w Kalifornii... Muszę znać wszystkie szczegóły budującej się żelaznej drogi, którą w przyszłym roku otworzy Jackson i ile metrów ma każdy szyb w kopalniach w Sierra Nevada... Wspominałem tu tylko o kilku interesach, a są ich całe tuziny o tysiącach szczegółach, które muszę mieć zawsze w swej pamięci...

Maksym Duret nie słuchał. Dla Joego Smitha było to jednak obojętne. Amerykanin wyjął z kieszeni wielkie cygaro, zapalił je i opierając się wygodnie w fotelu, mówił dalej.

— To też gdy mój pryncypał ma list do napisania, lub depeszę do wysłania, dosyć jest, gdy powie mi dwa tylko słowa... Ja już wiem, o co chodzi... Widzi więc pan, że nie za wielką mam pensję...

Jankes strząsnął bez ceremonii na obrus popiół z cygara i nie przerywał swego opowiadania:

— Niech pan zresztą policzy... Pan Jackson posiada obecnie tysiąc sto milionów... Jeżeliby je umieścił na trzy procent, miałby trzydzieści trzy miliony dolarów... Prowadząc interesa, ma z nich piętnaście procent... Praca więc jego przynosi mu dwanaście procent, czyli sto trzydzieści dwa miliony...

Sekretarz kotłował się w fotelu i wyjaśniał dalej:

— Well! Przypuśćmy, że pracuje po szesnaście godzin dziennie... Praca jego dzienna warta jest więc trzysta sześćdziesiąt jeden tysięcy, czyli dwadzieścia dwa tysiące pięćset i coś jeszcze franków godzina, innymi słowy trzysta siedemdziesiąt pięć franków minuta... Niech pan teraz pomyśli, ile cennego czasu straciłby z sekretarzem, któryby nie pojmował wszystkiego od razu, z pół słowa... Widzi pan sam, ile potrzeba minut po trzysta siedemdziesiąt pięć franków, by zebrać taką sumę... Za to com zaoszczędził u Lewisa Jacksona, odkąd mu służę mógłbym kupić cały wasz bulwar Bineau.

Joe Smith zamilkł. Prezes powstał w milczeniu od stołu i przeszedł do gabinetu. Jankes poszedł za nim.

Prawie jednocześnie służący wprowadził urzędnika Towarzystwa ubezpieczeń, który przybył zbadać okoliczności kradzieży...

Maksym Duret nie chciał nic mówić.

— Niech pan sam wszystko obejrzy — rzekł — i wybada służbę... Wypadek ten tak mną wstrząsnął, iż muszę pozostać w spokoju dla nabrania równowagi...

Potem siadł na swym zwykłym miejscu przed biurkiem i pozostawał tam w głębokim przygnębieniu do wieczora, podczas gdy Joe Smith dla zabicia czasu palił cygaro po cygarze.

Obiad zjedli razem. Tym razem jednak Maksym Duret nie zwrócił się z żadną propozycją do swego

dozorcy i nie kazał podać ani szampana ani Lacrima Christi.

O dziewiątej godzinie przyszedł Lewis Jackson. Nie zamieniając ani jednego słowa z prezesem, przyjął sprawozdanie z dnia od Joego Smitha i zwolnił go na noc.

Maksym Du et udał się do swej sypialni razem z miliarderem. Jackson siadł na szeszlunku, prezes położył się w ubraniu na łóżku. Tak przeszła noc, przez którą Lewis nie zmrużył nawet oka. Skazaniec przewracał się na wszystkie strony na łóżku, lecz nie mógł zasnąć.

O dziewiątej godzinie rano przybył na zmianę Joe Smith, poczem miliarder odjechał.

Maksym Duret był ciągle w ponurym nastroju, ale już nie tak przybity. Ubrał się i kazał zaprzęgać.

W kilka minut potem siadł do karety razem z Joem Smithem i pojechał do miasta. W domu pozostawił tylko służącego i kucharkę, mocno zaintrygowanych tą ustawiczną obecnością Jankesa.

Kareta prezesa zatrzymała się kilka razy przed różnymi bankami. Wszędzie powtarzała się jedna scena.

Maksym Duret i Joe Smith wchodzili do gabinetu dyrektorskiego i prezes oznajmiał swój nagły i niespodziewany wyjazd do Australii.

Znaczny spadek — jak wyjaśniał — wymagał jego wyjazdu, a nawet może i osiedlenia się tam na stałe.

Dyrektor winał mu i wyrażał żal, że traci takiego współpracownika. Prezes dziękował i prosił o pożegnanie w jego imieniu kolegów z zarządu. Wizyty te trwały aż do śniadania, które zjedli razem w restauracji.

Potem zaczęła się znowu jazda, ale tym razem do banków i do osób, które winny były prezesowi różne sumy. W końcu był z pożegnaniem u swych przyjaciół. Wiadomość o wielkim spadku wszędzie wywoływała te same wyrazy zdziwienia i te same życzenia. Nędznik musiał bezustannie uśmiechać się i ścisnąć radośnie ręce, które się do niego wyciągały. Kilka razy brakło mu już sił do odgrywania tej komedii.

Gdy wychodził z wspaniałego pałacu swego znajomego, któremu się wszystko udawało, opanowała go rozpacz. Byli na ulicy Tronchet. Przejżdżał wielki omnibus samochodowy. Joe Smith zaledwie zdążył zatrzymać swego więźnia, który chciał rzucić się pod koła.

— Hallo! — rzekł spokojnie amerykańkanin. — Niech pan się nie zabija... Wszyscy będą się nad panem litowali lub też drwili... Czy nie lepiej zniknąć, wywołując ogólną zazdrość?

— Ma pan rację — przyznał Maksym Duret i siadł do karety.

Wieczorem Joe Smith opowiedział swemu pryncypałowi, iż prezes załatwił już większość swych interesów i pożegnał się z swymi znajomymi.

— Dobrze — odrzekł obojętnie miliarder.

Noc przeszła zupełnie tak jak i poprzednia z tą tylko różnicą, iż nad ranem Maksym Duret wyczerpany z sił zasnął na krótko.

O oznaczonej porze Joe Smith zajął znowu swój posterunek, a miliarder wyszedł, przypominając tylko, iż za trzy i pół godziny upływa termin.

Prezes wypił na śniadanie filiżankę czarnej kawy i przygotował się do wyjścia. Wychodząc, zabrał z sobą małą buteleczkę, podobną do flakonika, z solami angielskimi. Joe Smith widział to, ale nie zwrócił na to żadnej uwagi.

O dziesiątej godzinie siedli do karety i pojechali do miasta. Prezes chciał odwiedzić jeszcze jednego znajomego, u którego zapomniał być wczoraj. Siedział u niego aż do południa. Joe Smith zaczął spoglądać często na zegarek. Zbliżała się chwila, w której winien więźnia swego oddać w ręce Lewisa Jacksona.

— Ile mam jeszcze czasu? — zapytał prezes, gdy się znalazł znowu z Jankesem w karecie.

— Trzydzieści pięć minut.

— Muszę jeszcze odbyć jedną wizytę...

— Gdzie?

— Na bulwarze l'Hôpital...

— Czy to daleko stąd?

— Dosyć... Każę jednak prędko jechać...

— Well! Jak pan chce... Przestrzegam tylko, że za trzydzieści trzy minut, gdy upłynieznaczony czas, wezmę pana za kołnierz, choćbyśmy byli przed tysiącem osób... Niech pan postara się abyśmy byli wtedy sami...

Prezes nie odpowiedział nic, tylko wychylił się przez okno.

— Bulwar l'Hôpital, numer 12 — rzekł do stangreta. — Jedź prędko.

Kareta ruszyła szybko. Przejechali tak część Paryża.

Joe Smith od czasu do czasu spoglądał na swój zegarek.

— Jeszcze dziesięć minut — rzekł flagmatycznie, gdy przejeżdżali przez most Austerlitz.

— Już dojeżdżamy — odrzekł Maksym Duret. Prawie jednocześnie prezes wychylił się znowu przez okno i zawołał do stangreta:

— Ulica Arnaud Lisan 37!... Jedź jak najprędzej.

Siadając, zwrócił się do Joego Smitha.

— Zapomniałem, że mam jeszcze bardzo ważny interes na ulicy Arnaud Lisan! Muszę się rzec wizyty na bulwarze l'Hôpital!

— O! Niech pan jedzie, dokąd pan chce!... Dla mnie jest to zupełnie obojętne... Ma pan jednak tylko niecałe dziesięć minut.

Tymczasem kareta zatrzymała się. Stangret obrócił się i robił jakieś znaki.

— Co takiego? — zapytał Maksym Duret.

— Nie wiem, gdzie jest ta ulica! — odparł służący.

— Sapristi!... Ja ją znam, lecz tylko z nazwy... Jest to nowa ulica... Co robić?...

Prezes wysiadł z karety. Joe Smith uczynił to samo.

Znajdowali się przed dworcem Orleańskim. Maksym Duret wskazał na policyanta, który chodził w pobliżu.

— Może on nam wskaże tę ulicę — rzekł.

I skierował się do niego. Joe Smith czekał spokojnie. Prezes oddalił się od niego zaledwie na kilka metrów. Stał on na dużym pustym placu. Ucieczka tu była niemożliwa. Amerykanin nie słyszał rozmowy, jaką Duret prowadził z policyantem, nie wydawała mu się jednak podejrzana.

Policyant widząc, że podchodzi do niego pan czarno ubrany z poważną i wyniosłą miną, podniósł rękę do kipi.

Prezes mówił szybko półgłosem.

— Niech pan nic po sobie nie okazuje... Niech pan nie robi żadnego ruchu... Niech pan udaje, że mi pan daje informacje... Jeżeliby się domyślił, że mówimy o nim, złoczyńca ten zarazby uciekł.

— Złoczyńca! — zdziwił się policyant.

— Tak, złodziej kieszonkowy; widziałem, jak wyciągnął portfel jednemu przechodźcowi...

— Gdzie on jest?

— Niech pan spojrz na niego tylko ukradkiem. To ten wysoki człowiek, o ceglastej wygolonej twarzy, który stoi tam o kilka kroków za mną.

— Widzę go — rzekł agent, rzucając okiem w tamtą stronę.

— Może go pan schwytać?

— O, tak... Nie będzie to długo trwało... Niech pan tu pozostanie...

Joe Smith ze swą wygoioną twarzą, w kostymie cokolwiek ekscentrycznym mógł wydać się komuś podejrzliwemu jednym z tych niebezpiecznych